

Księga wyjścia – 59

24 sierpnia 2020

Ballada blues

Tym razem nie będzie to ballada, ale zwykły, urodzinowy blues trzeźwiejącego nałogowca. Ponieważ napisałem, ostatnio, że już więcej o polityce pisać nie będę, chociaż w tym tygodniu naprawdę trudno ją pominąć, to skupię się na wydarzeniu sprzed kilku dni, jakim były moje urodziny i do czego mnie to skłoniło.



Zanim jednak do tego dojdę, to kasandrycznie i arbitralnie stwierdzę, że lewicy w Polsce już nie ma i z pewnością bardzo długo nie będzie. Gdy zaczynałem zajmować się działalnością społeczno polityczną, lewica była jasno określonym monolitem. Lewicy nienawidziła zarówno Gazeta Wyborcza jak i Radio Maryja. Skupiała bowiem środowiska ludzi walczących z identycznym zapałem o jej podstawowe idee. Czyli równość – niezależnie od płci, zarobków czy przez obronę wykluczonych grup społecznych. Tolerancję – niezależnie od wyznawanych wartości, pochodzenia, koloru skóry oraz preferencji. Nieważne czy byli to właściciele ogródków działkowych, czy osoby

transpłciowe, transseksualne, krótko mówiąc nieheteronormatywne.

Lewica zawsze domagała się odcięcia od państwowej kasy pasożyta, jakim po 1989 stał się kościół katolicki. Lewica żądała pełnej niezależności od obcych mocarstw, zawsze była antyimperialistyczna i antyglobalistyczna. I wreszcie swoją podstawę ideową zbudowała na etosie pracy. Pamiętajcie – „uczciwością i pracą ludzie się bogacą”. Gdybym powiedział to przysłowie współczesnemu trzydziestolatkowi, zapewne pękłby ze śmiechu.

Po upadku PRL jeszcze nikt nie wzbogacił się w Polsce uczciwą pracą najemną – mam myśli majątek, nie oszczędności. Wśród biznesmenów pewnie jest kilka „perełek” zawdzięczających dobrostan własnej pomysłowości i pracy. Lewica zawsze była po stronie słabszych. Taką ją pamiętam i tak ją czuję. RiP.

Niestety wolny rynek zniszczył monolit lewicy, rozbijając to środowisko na drobne. Wchłonał część działaczy z poszczególnych grup, czym legitymizował neoliberalny system gospodarczy, jako ten najlepszy, popierany nawet przez... lewicę. Wystarczyło zdobyć trochę feministek, część środowiska LGBT, kilka organizacji i stowarzyszeń walczących o prawa człowieka. Głównie przy pomocy wojsk NATO. Pokonali nas, wmawiając światu, że to oni, nie my są prawdziwą reprezentacją postępowej lewicy. Wiedzieli, że biedne i rozbite środowiska niczego samodzielnie nie uzyskają. Przed wyborami jedni obiecują równe prawa ludziom wykluczonym z powodów preferencji seksualnych czy pochodzenia, drudzy to samo środowiskom wykluczonym ekonomicznie, będącym na skraju nędzy i najmniej zarabiającym wskazując jednocześnie przyczynę ich problemów – czyli tych LGBT, mniejszości narodowe, czy „obcokrajowców odbierających pracę miejscowym”.

Bedą napuszczać jednych na drugich i zamiast walczyć z prawicą, zaczniemy walczyć między sobą. Zaraz...czy ja piszę w czasie przyszłym? Jeśli tak to przepraszam, pomyłka. To dzieje

się od lat. Byliśmy tak zaślepieni wewnętrzną walką, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy odebrali nam tożsamość. Może jest coś o tym w słynnej szafie Lesiaka, lecz nawet gdy potwierdzą się spekulacje o inwigilacji nie tylko prawicy, ale również PPS, to już niczego nie zmieni. Lewica była niegdyś synonimem zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Wszyscy walczyli za wszystkich i ze wszystkimi. Z pracodawcami – wspierając związki zawodowe, z pazernością kościoła i jego wpływami w strukturach państwowych, z nieuczciwymi przedsiębiorcami, w obronie wszystkich ludzi pracy najemnej. Mało tego, także w obronie drobnych przedsiębiorców, gdy wyrzucano ich z hali przy Placu Defilad w Warszawie. Wszyscy stawali w obronie wszystkich i nie było gradacji wartości. Niezależnie od nacji, mniejszości etnicznych czy praw pracowniczych. Tak było i nawet jeszcze to pamiętam. W zasadzie tyle mam do powiedzenia o tym jak nam prawica podpieprzyła lewicę.

Teraz o tym jak to jest zbliżać się do pięćdziesiątki w samotności. Przypomniałem sobie dzięki urodzinom, a o urodzinach przypominał mi niezawodny „Facebook”. Tym sposobem zorientowałem się, że to już niebawem. Niedługo będę pięćdziesięciolatkiem. Nie obchodzę żadnych świąt ani urodzin. Mieszkam sam i gdyby nie współczesne urządzenia elektroniczne, przegapiałbym i jedno i drugie. Przyznam, że wiek nieco klepnął mnie w dekiel. Tym bardziej, że od dziesięciu lat mieszkam sam, cierpliwie czekając kiedy wreszcie dorosnę, by założyć odpowiedzialną rodzinę, która nie rozpadnie się po kilku latach, co już dwukrotnie przerabiałem.

Czekam więc sobie aż dorosnę i już nawet przywykłem, a nawet chwilami polubiłem ten stan zawieszenia. Ale tylko chwilami.

Życie singla ma całą masę zalet, można rzucić ubranie na podłogę, nie zmywać garów przez tydzień lub dwa, wyjść z domu kiedy się chce, i wrócić o dowolnej porze. Problem pojawia się, gdy nie ma gdzie wyjść i skąd wrócić – ale to już inne zagadnienie i dotyczy głównie trzeźwiejących alkoholików, którzy nie zdążyli zbudować relacji towarzyskich na trzeźwo, a

te które dotychczas mieli, dla własnego bezpieczeństwa – stały się nieaktualne.

Najważniejszą zaletą takiego życia jest pełna kontrola nad pilotem do telewizora. Dlatego mam dwa odbiorniki, żeby mieć więcej władzy. To jest argument nie do podważenia przez wszystkich singlosceptyków. Wiadomo, że ten, kto ma w dłoni pilota, rządzi w tym domu.

Skoro zalety już wymieniłem, to teraz przejdę do wad. Jest ich niewiele, kilka jedynie, ale ponoć „nic nie jest idealne” – tak mówią, a jeśli wszyscy tak mówią, to zapala mi się czerwona lampka ostrzegawcza. Wszyscy mówią „lepszy rydz niż nic”, setki razy byłem na grzybach, znajdowałem wszystkie gatunki ze smardzami włącznie, ale rydza nie znalazłem nigdy, „na bezrybiu i rak ryba”, tylko raz w życiu widziałem żywego raka w jego naturalnym środowisku, w Bułgarii, ale ryby też tam były. Najgorsze jednak jest to, że żaden sukces jest niepełny, radość niepełnosprawna, jeśli nie mamy kogoś, z kim możemy się tym podzielić.

Ponieważ wiek ma swoje prawa i obowiązki, pewnego dnia pomyślałem, że czas najwyższy kupić sobie kapcie – przecież w pewnym wieku nie wypada chodzić po domu boso lub w trampkach...trampkach? Cholera, wciąż chodzę w trampkach. Wybrałem się na halę targową gdzie stoisk co niemiara. Postanowiłem się ustatkować, rozpocząć zwykłe szare życie przeciętnego człowieka. Poszedłem nawet w tym celu kupić odpowiednie kapcie. Wydawało mi się, że bez odpowiednich „pampuci” życie, o którym marzę jest niemożliwe. To niezbędny atrybut małej stabilizacji. Kupię, postawię przy łóżku, a reszta sama się ułoży – pomyślałem.

Byłem przekonany, że działają one jak lampa Alladyna. Z jednego wyskoczy – chciałem napisać Dżin, ale może w moim przypadku to głupi pomysł, bo jeśli w jednym będzie Dżin, to w drugim znajdę butelkę toniku. Więc jakiś inny duszek, który powie, że spełni moje życzenia. Poproszę go pięknie o zwykłe,

szare życie, szpachlę do załatania pęknięć w sercu i bym w spokoju trwał sobie w przekonaniu, że to trwanie ma głęboki sens.

W miarę zbliżania się do stoiska na miejscowej hali ze straganami, zaczęły nachodzić mnie wątpliwości. Kapcie będą mi się poniewierały pod nogami, a ja będę klął za każdym razem, gdy wstając nadepnę, kopnę lub coś w tym stylu. Pomijając już fakt, że zapewne wdam się też w awanturę ze sprzedawcą kapci, w lokalnej gwarze nazywanych ciapami – rozważałem w drodze. Transakcja wyglądałaby tak, ile kosztują kapcie? – zapytałbym sprzedawcę. Co takiego? A, chodzi panu o ciapy – odpowiedziałby sprzedawca. Te ciapy kosztują tyle, te ciapy tyle, a tamte ciapy tyle. Wsadzając rzeczownik „ciapy” gdzie tylko się da, żeby nauczyć barana – czyli mnie – jak ów przedmiot się nazywa. A ma pan kapcie kapciowe, takie standardowe, do stawiania przy łóżku? Mogą być z pomponem. – Panie, czego pan chcesz, są ciapy takie jak widać, bierz pan albo nie i dupy nie zawracaj. Ten pompon przekonałby go, że zapewne jestem jakiś „nie tego” słowa gej nie zapewne nie zna, a napisać inaczej politycznie nie bardzo pasuje. W każdym razie nie pomyślałby o mnie gej, choć byłby przekonany, że takiej właśnie orientacji jestem. Dlaczego tak chamsko pan mi odpowiada – zapytałbym kulturalnie, co zadziałałoby na sprzedawcę jak płachta na byka utwierdzając w przekonaniu, że ma rację co do mojej orientacji. I awantura gotowa – taka grawitacja. Gdy raz jeszcze przemyślałem rozpoczęcie nowego życia, które bez kapci się nie uda, zmieniłem zdanie. Skarpetki koło łóżka też całkiem nieźle wyglądają, wcale nie gorzej od spornych kapci. Po dokładnym przemyśleniu, zawróciłem i poszedłem kupić szlugi. Z przemytu oczywiście. I tak zakończyłem próbę ustatkowania życia. Nie wyszło, ale musicie przyznać, że przynajmniej próbowałem.

Tym razem wyjątkowo nie jest to ballada, a zwykły urodzinowy blues. Wiecie czemu?

„Bo blues jest wtedy, kiedy człowiekowi jest źle”...

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info